

Aleksander Cywiński

Uniwersytet Szczeciński

O nędznym robaku i rwących się niciach, czyli rzecz o upokorzeniu

Moje doświadczenia edukacyjne związane z upokorzeniem

Ma być na wesoło, żartobliwie, ironicznie. Postaram się. I nie mówię, że to o mnie, albo że nie o mnie. Ubiorę w metaforę, pomieszam konwencje, style, a nawet czcionki. Zastosuję szkatułkowy typ narracji, gdzie opowieść jest w opowieści, co może mylić czytelnika. Bo przecież nie napiszę otwarcie, co było moimi życiowymi upokorzeniami. Nie mam na to ochoty, siły, tej twardości, która pozwala uwolnić wspomnienia, a jednocześnie zachować samego siebie w równowadze. Siły, która nie pozwala obalić. Ratuje przed przeczołganiem. Choć... o tym mogę napisać, tj. o pewnym upokorzeniu, które przeżyłem w sobie. I nie mam na myśli tego, że dwa lata chodziłem do klasy 0. Poważnie. Ot, przyjąłem to z pokorą. Wytłumaczę się. Najpierw chodziłem do „zerówki” z bratem, który jest o rok starszy. Gdy skończył się rok szkolny, podobno, bo ja w tym nie uczestniczyłem, orzeczono, że za wcześniej, bym poszedł do klasy pierwszej. Może i dobrze. Bo nie ma pewności, że gdybym kontynuował edukację na tym przyspieszeniu, jakim jest wcześniejsze rozpoczęcie nauki, spotkałoby mnie coś więcej, niż to, co dwa lata później wśród rówieśników. Rzecz w tym, że szybko się okazało, że mam problemy z ortografią. Nic nie pomagało. Moja kochana mama próbowała mnie ratować. Pracowała ze mną w domu, a mimo to spotykała mnie porażka za porażką. Rekompensowałem to sobie sukcesami na innych polach. Byłem dobry z matematyki, i w zasadzie z niczym innym nie miałem problemu. I wtedy nadzedł ów krytyczny dzień. Wiosna. Myślę, że wtorek. Wezwany do tablicy, stoję i staram się napisać już nie pamiętam jakie słowo, ale oczywiście piszę je źle. Od naszej pani słyszę liczne i bolesne uwagi. Najgorsze następuje jednak, gdy wracam do ławki. Pani oświadcza: XXXXXX, prawdopodobnie nie zdasz do następnej klasy. Od tego momentu, przez resztę dnia żyję jakby nie moim

życiem, bo czuję, że już na nic nie mam wpływu. Wszystkie te nici, które swymi jeszcze małymi dłońmi, starałem się jak najsprawniej poruszać, tak by tkąć jak najlepiej to swoje przyszłe życie, te wszystkie nici rwą się dokumentnie. Na przerwie nie tylko nikt nie chce się ze mną bawić, ale do tego pewien Krzysiu, uczeń bardzo słaby, skazany co najwyżej na przeciętne wyniki, czując, że to jest jego moment, podbiega co chwilę do mnie i krzyczy z całych sił śmiejąc się: *dwóóóóóójaaaaaarz*. Po czym odbiega, bo boi się, że w końcu mu dowalę. Ja jednak tego nie czynię. Niemo zezwalam, by skończył to, co rozpoczęła nasza pani. Po szkole wracam do domu. Snuję się i nie wiem, jak powiedzieć mamie, co się stało. W końcu wybucham płaczem. Aż trzęsie mnie od tego. Mama się dopytuje. Chce wiedzieć, co się stało. Ja nie jestem w stanie nic z siebie wykrztusić. Zalewam się łzami. Gile płyną z nosa, jakbym miał tam ich największą w świecie wytwórnę. Mama się denerwuje. Chcę jej powiedzieć, ale mówię bardzo niewyraźnie. Nie może mnie zrozumieć, albo też to, co mówię jest dla niej tak niepojęte, że nawet jeśli słyszy słowa, to nie może tego zaakceptować. Próbuje napisać na kartce. Też mi się nie udaje przekazać tą drogą wiadomości. Ręka zbyt drży. Mija trochę czasu, udaje mi się wydukać wiadomość o moim prawdopodobnym, ponownym pobycie w drugiej klasie. Mama mnie pociesza, choć sama jest w szoku. Przerwywam na chwilę pisanie i w magiczny sposób jestem z nimi w tym małym pokoiku, który wtedy nie wydawał mi się aż tak mały, a do którego przypadkiem trafiłem w wiele lat później, gdy okazało się, że mieszka tam moja koleżanka i wydał mi się tak mały jak pudełko zapalek. Jestem w tym pokoju, widzę ją i siebie. **TO JEST TEN MOMENT**. Archeupokorzenie. Praupokorzenie. Upokorzenie wszystkich upokorzeń. I to się wydarzyło w związku ze szkołą. W szkole, po szkole, przez szkołę. Wszystko, co było potem, było tylko cieniem tamtego. Zawsze to miało te same cechy: silniejszy dostrzeża, że słabszy zrobił coś źle i wpada w jego zdaniem słuszny gniew, chcąc wykazać temu słabszemu, że jest nędznym, nic nieznaczącym robakiem, wijącą się glizdą, która nie chce czegoś zrobić, albo nie potrafi, albo jeśli nawet już robi, to bardzo, bardzo źle. Ot, cała prawda o upokorzeniu. Odzieranie z godności, a w trakcie tego procesu sprawca oczekuje, że ofiara mu jeszcze podziękuje. Ostatecznie zdałem do kolejnej klasy. Od rodziców w wiele lat później dowiedziałem się, że nasza pani podczas zebrania tłumaczyła swoją słabą na nich dyspozycję i jakby nieobecność silnymi lekami psychotropowymi, które przyjmowała. Hmmm ... chyba nie mieliśmy szczęścia w klasach I-III. Potem też było kiepsko. Wychowawca nasz, mężczyzna, wufista, w jakiś taki pokrętny sposób po zakończonych zajęciach lądował zwykle pod prysznicem z dziewczynkami. Rodzice, którzy na zebraniu pytali, czy to musi tak wyglądać, dawali się mu zwieść.

Przyjmowali jego wytłumaczenia i tym samym pozwalali, by oglądał uczennice w negliżu. Apogeum natomiast nastąpiło, gdy po zakończonych zawodach w Koszalinie nie mieliśmy jak wrócić, ponieważ zastrajkowali kolejarze i nasz wychowawca nagle gdzieś zniknął. Pewne dwie „genialne” matki, które z nami były jako opiekunki, wpadły na pomysł, by ustawić się na trasie wylotowej z Koszalina w kierunku Szczecina i łapać stopa. W ten sposób stopniowo ekspediowały dzieci. Byliśmy wtedy w V klasie. Widząc, co się święci, a nie chcąc paść ofiarą jakiegoś szaleńca, opracowałem następującą strategię: schować się, czekać aż na końcu zostanie jedna z pań i wrócić z nią. Znalazłem odpowiednie krzaki, z których było widać moich kolegów i koleżanki, którzy kolejno wsiadali do zatrzymujących się samochodów. Taki byłem skupiony na tym, by mnie nie zdekonspirowano, że nawet nie zastanawiałem się nad tym, czy się jeszcze spotkamy. Byłem całkowicie skoncentrowany na swoim przeżyciu i nie wstydę się tego, że choć byłem gospodarzem klasy, w tej chwili myśl o dobru ogółu nawet w najmniejszym stopniu nie kołatała mi w głowie. Zgięty w pół, tak by nie było mnie widać, spędziłem dobrą godzinę, aż uznałem, że mogę się „ujawnić”. W tych krzakach pierwszy raz w życiu poczułem, że jednostka to taki mały balonik na wietrze. Szczęśliwie cała klasa dojechała. A nasz wychowawca poszedł na zwolnienie lekarskie i napisał list, w którym oświadczył, że gdyby komuś coś się stało, chybaby popełnił samobójstwo. Wiedział, że nie musi. Więc jaką wartość miały te słowa? Hmm... chyba znów nie mieliśmy szczęścia. Naszą sportową klasę rozwiązano, ja zaś już potem miałem więcej szczęścia co do wychowawców i nauczycieli. Smutno brzmi? A miało być na wesoło? Tylko jak tu na wesoło pisać o upokorzeniu? Podobno gdy Kafka czytał swym przyjaciółom początkowe wersje PROCESU, to wspólnie zarykiwali się ze śmiechu. Jakie to absurdalne, myśleli. Przychodzą do kogoś do domu. O coś oskarżają, ale jakby nie oskarżają. Chyba dopiero później Kafka pojął, co wyprodukował jego geniusz. Efektem tego są zdjęcia, na których nie uświadczysz jego uśmiechu. Jest wychudzony człowiek o dużych, czujących oczach. Jakby przeżywał to, co jego bohaterowie.

Z tym upokarzaniem, odzieraniem z godności to jest tak, że słyszysz, że coś dobrego dzieje się dla ciebie, że musisz przejść przez tę naukę. Wytrzymać. Wylądować daleko jak Małysz i ustać. Być dzielnym. Nawet jeśli się z ciebie śmieją. A w tobie głos wyraźnie mówi, że nie, że cię krzywdzą. I pojawia się dysonans. Hmm... chyba bywa, że nie mamy szczęścia.

Fikcyjne historie, a na dodatek nie wprost związane z upokorzeniem

Trzeba by trochę innego światła rzucić. To może odrobina fikcji. Szkatułki w szkatułce...

Jechałem na rowerze. Otworzyłem usta. Poczułem jak mucha uderza o moją prawą, górną jedynekę. Pomyślałem: ale by była heca, gdyba mucha wybiła mi zęba. Śmiechu co nie miara. Jeśli ktokolwiek by uwierzył. Obciach. Ciekawe, czy to możliwe. Pokonany przez owada!!! Przypuśćmy, że to nie mucha, a duży bąk. I zjeżdżam z góry, a ząb jest osłabiony. Kto wie? Może i możliwe. Ale już po chwili, jak to ja, mam głowę zajęętą czym innym. Oddaje się swojej pasji. Tworzeniem opowieści. Nic nigdy z tego nie będzie, ale przecież nie po to to robię. Od dziecka. Takie zadanie sobie daję na ten raz: wielkie spotyka małe i choć wydaje się, że wygrało, to w rzeczywistości przegrało. Takie pyrrusowe zwycięstwo. Upokorzenie, które pełźnie. Proszę, proszę:

Droga XXV998***_TRE (tak Ziemiańskie zaczęli swoje listy),

Ach ta Ziemia. Planeta niepokonana. Wprzódę zładowawszy, a następnie rekoniesans dokonaliśmy i lont podpaliliśmy i już jej nie ma, a my i tak jakby na kacu. Przerobili nas na szaro. Nawet w naszym języku to widać. Zaczęliśmy mówić, pisać jak oni, mieszając nieporadnie wszelakie style. Zaraz zaczniemy myśleć jak oni... Co za nędza. Panowie świata tego my przecie. A gdzie tam! Ledwo właściciele. A może tylko posiadacze. Porażka na całej linii. Najbardziej szkoda młodego Księcia. Upokorzony wobec całej galaktyki. Co ja prawie!!! Uniwersum wszelakiego!!! Miał w glorii chwały. W huku protonowych silników. Złądować. W wielkości. A co dostał... Można powiedzieć, wyschnięty brzeg nieistniejącego morza. I tylko, te, no te, jak im... szczyry były. Siedzi taki, obgryza jakiś plastik i się patrzy. Patrzy i patrzy. Na ciebie, za ciebie, przed ciebie. Się nie można wyznać, co se myśli. Tak się patrzy. Nerwowe takie, rozbiegane, takie niespokojne. Na początku myśleli my, że to ludzie. Pasowało to do opisu ludzi, zwłaszcza rodzaju męskiego. Że ucieka, jak jest problem. Ale ludziów już wtedy nie było... A tyle zachodu. Tyle starań. Planów. Toż to cała armia leciała. A się cieszyły zastępy kumów. Że czynów walecznych dokonają. W walce na rakiety, na opady radioaktywne, a nawet tak po ziemsku, na noże, bagnety, a niech będzie, że na czekany czy buławy, albo kamieniami. Co tam druhom pod rękę wlezie, z czym wyskoczy przeciwnik. By było honorowo. By potem nie gadali w galaktykach sąsiednich, że przewagę technologiczną wykorzystujemy. Że wozimy się naszymi statkami wypasionymi. Ponad świetlnym wehikułem zaiwaniamy, trącając ogony komet zawiadacko. Chwaty my. To nawet, choć dawno nieużywane metody były, to by było honorowo, uczyli my się wręcz bić. Nie tak jak teraz, powszechnie i w modzie. Oddziaływanie i telekineza. Kulturalne zabijanie. Obiekt przeczuwa swój koniec i własnowolnie się poddaje, unicestwia.

Plan był taki. Lecimy na Ziemię. Lądujemy. Podbijamy. Niszczymy. I wracamy. W glorii. Z fanfarami. Tak jak już tysiące razy wcześniej. A na czele naszego zwycięskiego pochodu Książę nasz młody, przyszły władca. Konfetti się sypie

i jeden wielki splendor. Bułka ze smalcem... czy jak tam mówili... zaraz... bułka z masłem. Trudny ten język. U nas prościej. Zdanie ledwie ma trzy słowa. I wszystko jasne. Na Ziemi inaczej. Dodają, dodają. Końca nie widać było u niektórych. Mówili, mówili, mówili. Widzieli my na tych ruszających się obrazach, co oni filmem zwali.

A Książę się załamał. Kompletnie. Dętka. Do władzy się nie nadaje. Inną mu planetę szukają na gwałt. Jest podobno taka jedna o kilkadziesiąt ledwie lat świetlnych, ale mówią, że to ściema. Ledwo w wodzie coś pływa. No, mogłaby ekipa interwencyjna tam udać się wprzód, ale nie ma cudów. Z pustego i Salomon nie należy. Jak to mówili. Salmon? Salamon, Słalom... A nie Salomon. O, okazuje się, że to jakiś król ich był. Teraz dopiero sprawdziłem. Więc tam w wodzie podobno coś ledwo pływa. A jak znam życie i nasz wywiad, to tam jeszcze nie ma wody. Dopiero wielką katalizację trza by zacząć. Pioruny jedne. Ale kaszana. Tu na Ziemi bajerancko dali się w Karolka zrobić. Wywiadowcy nasi, pozał się Boże. Już tu byli z tysiąc lat i mieli przypilnować wszystkiego. Regularnie, że tak powiem, jedna wielka ściema. Ale coś nie poszło...

I w ich ciuchy się przebraliśmy. Bo w drodze, by szansę im dać, upodobniliśmy się do nich. Że gdy staną z nami do walki, by się nie przestraszyli naszych prawdziwych kształtów. Naszej siły wielkiej. Nadczłowiekości. No to co któryś tam z naszych garbaty, bez nogi wielu, a kilku nawet bez dwóch, bo tyle zwykle ludzie mają. A prawie wszyscy popsute zęby my mieli. A bolało. Ech, czego się nie zrobi, by było honorowo.

Zatem wylała się nasza armia kaleczna z okrętów, a tu cisza. Schowali się? Pułapkę nam szykują jaką? Mieliliśmy, co prawda, sygnały, że u nich kiepsko. Ale nasza awangarda, co już dawno tam była, informowała, że ogarniają temat i wychodzą na prostą. Trochę wierzyć się nam nie chciało, bo u nich już naprawdę kiepsko było, niczym w chłopskiej chacie na przednówku. Wprzód nawet atomówkę sobie wrychtowali, ale Ci, co ich mieli kontrolować, a o których awangarda nie wiedziała, od pewnego momentu, tak wokół ich 1963 roku, też zaczęli podawać, że sytuacja się klaruje... No tośmy się uspokoili, pomyśleli, że gryfne chłopy na miejscu są i zawsze można im ufać. Lecieliśmy z nadzieją, że jeszcze będzie kogo wyznaczać. A tu klops. Nici z podboju. To my główkujemy, jak to możliwe.

Okazało się, że wszystko się psuć zaczęło, gdy skumali się. Awangarda, co miała kontrolować sytuację i Ci, co ich mieli kontrolować i nawet Ci, co mieli kontrolować kontrolujących, a o których nie wypada mi pisać już nawet, bo to wstyd, że u nas do takich sytuacji dochodzi i brak zaufania między swymi, ale widać, że i takie coś nie pomoże... uff ale długie zdania. Rozjaśniło się nam, gdyśmy rozpoznali sytuację. Co tu dużo gadać... pełna demoralizacja wśród naszych. Przejęli zwyczaj miejscowych. Okazało się, że wszystko jest na sprzedaż. Tylko kwestia ceny. I ta woda. O matko, w zasadzie wszyscy się na to złąpali. To i bójki się zaczęły i przekupywanie. I handelek różny. To paru na stosie spłonęło, jakieś rewolucje francuskie i inne organizowało. To iluś tam, zaangażowało o się w jakieś hitlery czy staliny. No Meksyk się zwłaszcza w tym dwudziestym wieku zrobił. A na koniec... ale żeby tak na swoich donosić. To ludzie nim sami się wygubili, to uporali się z naszymi. Niepojęte. To był przecież ze sztabu Księcia nawet rozkaz, zarębać te staliny i inne hitlery. Albowiem ludzkość do zagłady doprowadzić mogą i przewencyjnie tak. Jednakowoż syg-

nał z Ziemi od nich szedł, że to kolejny etap rozwoju ludzkości, że trzeba przez to przejść. Mówili: nie ruszać. To generały nasze, że skoro sygnał taki, to nie ruszać. No to mamy tera Księcia na ostrym nieogrze. Upokorzonego. Nie da się bowiem podbić bez podbijanych.

A ja już zasadniczo pobieżnie żadnemu nie ufam, co by mówił, że jest tak a tak, bo widział to i to. Szlus z tym... Cholerni ludzie. Wykończyli się sami, nim myślny przybyli, by to zrobić.

Powrót do rzeczywistości

Dość już macie tych dziwactw? :) No dobrze, opowiem o ostatnim upokorzeniu. Nie takim galaktycznym, jak w tym opowiadaniu, w którym biedny książę upokorzony jest faktem, że nie będzie mógł w glorii zdobywcy powrócić na swoją planetę, bo ta przeklęta ludzkość zamiast się rozwijać sama się wykańcza, ale o takim malutkim, dotyczącym jednostki. I nie mówię, że to o mnie, albo że nie o mnie. Nie powiem, jakiej instytucji dotyczy. Było to tak: X w czytelni fotografuje potrzebny mu artykuł. Robił to już wielokrotnie, ale tym razem Pani Bibliotekarka zwróciła mu uwagę, że trzeba na to zgody Pana Dyrektora. X pisze pismo, w którym wskazał, że pracuje nad doktoratem i niezbędna mu jest możliwość fotokopiowania. Pan Dyrektor, na tym piśmie, ręcznie dokonuje adnotacji. Pisze, że winno się wskazać artykuł lub książkę, która ma zostać skopiowana, a promotor pracy każdorazowo ma poprzeć pisemnie prośbą doktoranta. X sądzi, że to jakiś żart. Zaczyna dzwonić do innych bibliotek i okazuje się, że nigdzie indziej nie ma takich obostrzeń. Dzwoni nawet do ZAiKSu, instytucji, która ma strzec interesu twórców i rozmawia z radcą prawnym, która jest bezradna wobec takiego dictum Pana Dyrektora. Nie jest w stanie go uzasadnić. X postanawia zwrócić się do Pana Dyrektora o podanie podstawy prawnej. Pan Dyrektor ceduje sprawę na swojego radcę prawnego. Ten zaś bardzo mętnie tłumaczy, że chodzi o ochronę praw autorskich i przywołuje bez cytowania pewien artykuł z ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych. X odnajduje ów artykuł i nie rozumie. Jego treść ma się nijak do stanu faktycznego. Zaczyna się czuć jak bohater PROCESU Kafki. Chce rozmawiać z radcą, by ten mu wytłumaczył swoje stanowisko. Niestety nie może go zastać. Raz. Drugi. Trzeci. X jest skonfundowany. Czuje, że jest traktowany niesprawiedliwie. Lecz zamiast napisać skargę do organu nadzorującego bibliotekę, skulił pokornie ogon. Cichcem przemyka z interesującymi go materiałami niby do punktu ksero, a w rzeczywistości do toalety i tam uprawia swój nieczny, wstydlawy proceder. X nie jest jednak jedyny. Takich jak on jest więcej. Fotografujących w toa-

lecie. Upokarzanych przez Bibliotekę Molocha, która mówi im: robicie coś złego. I wtedy jest już i śmieszno i straszno. Bo czujesz, że jest komicznie, ale rozumiesz też, że jesteś robakiem. A taka kafkowska przemiana to nic przyjemnego. Nikt nie chce dzielić losu Gregora Samsy. Hmm... chyba zabrakło szczęścia. Niczym w rosyjskiej ruletce każdemu się może przytrafić celny strzał. To jest gra, w której uczestniczą wszyscy. Bez wyjątków. Bo zgłosili nas rodzice. I tak trwa to już od Adama i Ewy. Niestety odzieranie z godności jest wpisane w nasze człowieczeństwo. Upokarzani upokarzają. Kupa śmiechu...

SUMMARY

About a miserable worm and spoiling threads, that is a story about humiliation

In the text, the author writes about his experiences from childhood. He discovers that using the term “humiliation”, he can cope with painful experiences. Then, in order to avoid too serious subject matter, using the convention of a story in the story, he refers to the subject of SF.

KEYWORDS: early school education, humiliation, human-institution relationship